



Szepty
PRZYSZŁOŚCI

Szepty #1 • Część 2

CARA D. WYLER

Rebelde ♥

WYDAWNICTWO

Copyright © for the text by Cara D. Wyler
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Rebelde
Leszno 2026

All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:
Justyna Szymkiewicz

Korekta językowa:
Ewa Woźniak

Korekta po składzie:
Jolanta Szalak, Kamila Polańska

Opracowanie okładki i oprawa graficzna:
Justyna Knapik @hermetycznie_zamkniete

Grafika na okładce:
Kamil Korzeniowski @korzeniowski.art

Skład i opracowanie ebooka:
Michał Bogdański

Wydanie I

ISBN: 978-83-68587-78-4

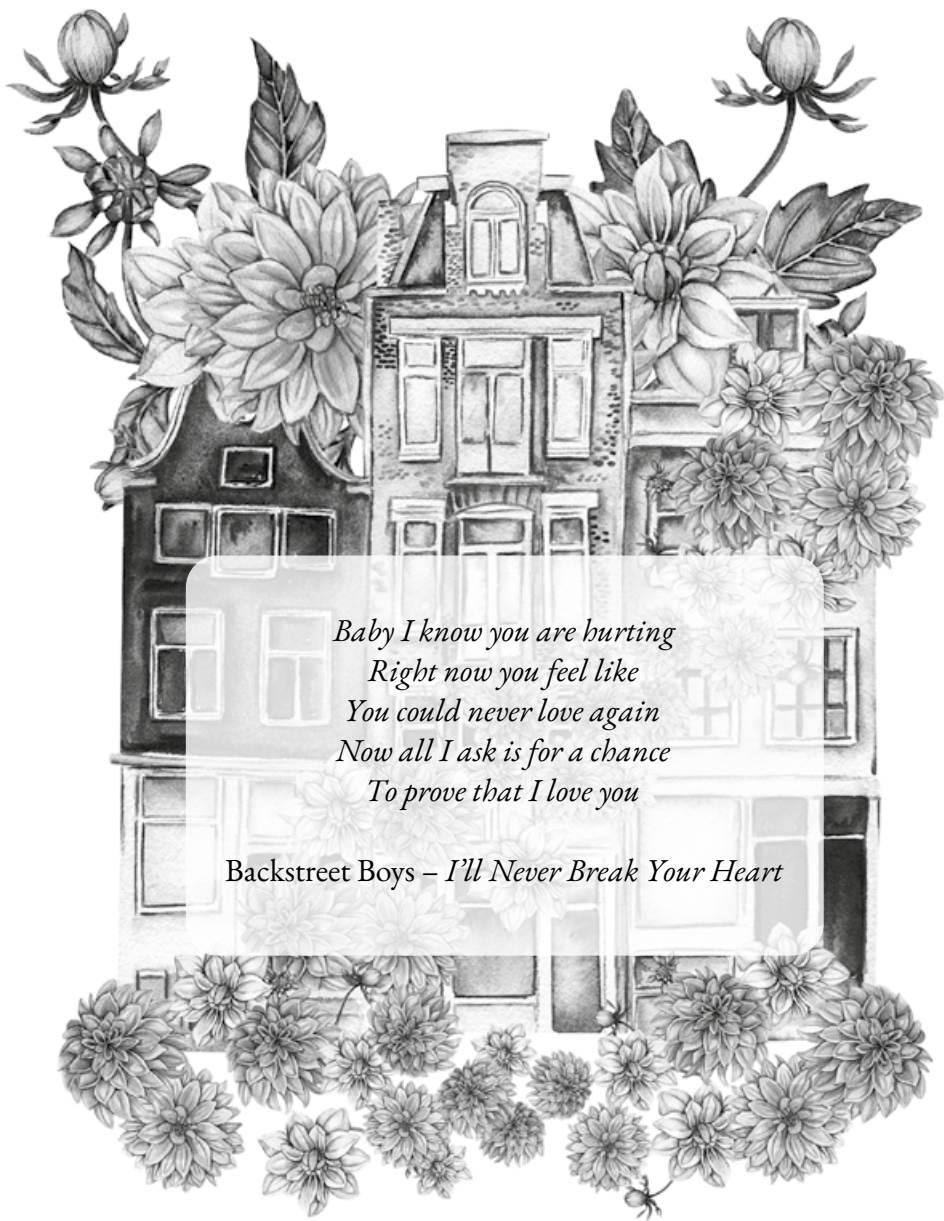

WYDAWNICTWO

Szepty
PRZYSZŁOŚCI

Szepty #1 • Część 2

CARA D. WYLER

Rebelde ♡
WYDAWNICTWO



*Baby I know you are hurting
Right now you feel like
You could never love again
Now all I ask is for a chance
To prove that I love you*

Backstreet Boys – I'll Never Break Your Heart



Prolog

Szczęście to pułapka.

Na początku czujesz ulgę. Jakby ktoś wreszcie zgasił pożar, który tlił się w tobie od lat. Wszystko nagle staje się ciepłe, lekkie, prawie nierealne. Śmiech brzmi głośniejsz. Czas zwalnia. Twarze się rozjaśniają. I myślisz, że to już. Że dotarłeś.

Poznajesz miłość życia.

Pojawia się znienacka, często wtedy, kiedy już przestałeś wierzyć.

Spojrzenie. Dłoń. Cichy gest. Wszystko nagle ma sens.

A potem – peszek. Bo tak to się kończy.

Nieważne, jak mocno się trzymacie, życie zawsze znajduje sposób, żeby rozdzielić dłonie.

Nieuniknione.

Czasem dzieje się nagle – choroba, która nie pyta, czy jesteś gotów.

Czasem zupełnie przypadkiem – luźny kamień na szlaku, który w jednej sekundzie przestawia cały świat. Albo coś groteskowego – jak katastrofa jachtu, na którym byli twój brat i rodzice.

A czasem powoli – słowami wypowiedzanymi z coraz większą nieobecnością:

– Kocham cię. Ale mam obowiązki wobec rodziny, które muszę spełnić, tak jak mój brat.

– *Ja jestem twoją rodziną.*

– *Prawdziwej rodziny.*

I wtedy rozumiesz.

Szczęście nie jest nagrodą. Jest złudzeniem. Czymś, co przychodzi tylko po to, żebyś bardziej cierpiał, kiedy zostaje odebrane.

Najlepsze, co może się zdarzyć?

Umrzeć razem. W tej samej chwili. Ramię w ramię.

Bez żalu. Bez czasu na tęsknotę.

Ale ani ja, ani Keanu nie mieliśmy tego luksusu.



Rozdział 1

Elijah

Spotkanie Keanu i Nel w siedzibie Ballmer Defense w Santa Clara było jak cios obuchem prosto w twarz. Taki, który nie tylko rozcina skórę, ale też uderza głęboko – w sumienie, w serce, w duszę. Przez wiele tygodni żyłem jak w studni, do której nikt nie spuszczał liny. Wszystko było szare, martwe, bez punktu zaczepienia. Dopiero ich widok przypomniał mi, co znaczą oddech, bicie serca i ból, którego nie da się zagłuszyć.

A przecież ktoś próbował mnie z tej studni wyciągnąć wcześniej. Mój brat. Wpadł niespodziewanie do mojego mieszkania i zanim zdążyłem zareagować na jego niecodzienne zachowanie, już grzmiał jak burza. Jego słowa bolały bardziej, niż myślałem, że potrafią. Każde zdanie wbijało się w mój umysł jak gwóźdź, a na koniec dobił mnie czymś w rodzaju motywacyjnej mowy. Potrzebowałem tygodnia, żeby się pozbierać, żeby znowu stanąć przed lustrem i nie odwrócić wzroku z obrzydzeniem. Żeby schować dumę, odsunąć strach i przyznać sam przed sobą, że koncertowo schrzaniłem wszystko, co miało dla mnie znaczenie.

Tęsknię. Nie tylko tak „trochę”, nie z przyzwyczajenia. Tęsknię do bólu, do łez. Za nią, moją duszą, której sądziłem, że nie posiadam – za Nel. Za jej ciepłem, za zapachem skóry, za tym, jak o poranku, kiedy świat jeszcze się nie obudził, z uśmiechem wymawiała moje imię. Tęsknię za tym, żeby widzieć ją obok, zaspaną i prawdziwą, niczego nieudającą. Za tym, żeby zasypiać z jej dłońmi na klatce piersiowej. Tęsknię też za Keanu, który mimo wszystko był głową rodziny, przewodnikiem i murem. I moim przyjacielem, chociaż nie sądziłem, że kiedykolwiek go tak nazwę.

Wiem, że zasłużyłem na wszystko, co najgorsze. Gdyby Walters chciał mi wymierzyć sprawiedliwość pięścią, nadstawiłbym twarz bez słowa. W sumie nawet na to czekam. Tak samo Nel – ma prawo mnie znienawidzić. Ale mimo wszystko chciałem wtedy spróbować, chciałem odzyskać to, co zniszczyłem. Rodzinę.

Dlatego pojechałem tam, do Harborbrook. Naszego domu. I zastałem... pustkę. Nie było Nel. Nie było Keanu. Psy zniknęły. Ich rzeczy też. Jakby wszyscy wyparowali. Nawet hortensja – nad którą Nel trzęsła się jak nad dzieckiem – przepadła bez śladu. Zostały tylko moje rzeczy. Nieruszone. Leżały tak, jak je zostawiłem.

Zalała mnie fala wściekłości i rozpacz. Do siebie. Do świata. Do ojca. Niemoc. To uczucie, kiedy masz wrażenie, że cały świat wali ci się na głowę, a ty nawet nie potrafisz się podnieść z kolan.

W środku krzyczę, wrzeszczę, gryzę własne wnętrze, ale na zewnątrz... jestem pusty. Jak skorupa.

Nie wróciłem już do swojego mieszkania. Zostałem w ich – nie naszym – domu. Nikt mnie nie wyrzucił. Choć może powinien. Ale nie. Kiedy nie udawałem, że pracuję, to szukałem Nel w każdy znany mi sposób. Albo dzwoniłem, wpatrując się w kontakt opatrzone nazwą „Święta Krowa” i jej zdjęciem. Albo leżałem w naszym łóżku otoczony jej zapachem. Przyjaciele, nasza paczka... traktowali mnie jak swojego i starali wyciągnąć z marazmu. Theo i Levi nie odwrócili się ode mnie. Dziewczyny też nie.

A Josie... Josie jest jak latarnia morska, kiedy błądzisz. Spotykam się z nią regularnie. Jest cicha, spokojna i zaczyna mówić pierwsze słowa. Przeze mnie straciła bliskich – ciocię i wujka, z którymi łączyła ją głęboka więź. Wiem, że nadal mają kontakt, że rozmawiają. Ale nigdy nie pytam. Nie naciskam. Nie chcę zmuszać kogokolwiek do wyboru, do stawania po czyjejś stronie.

Zamierzam sam ich odnaleźć. Przeprzić. Naprawić.

Co ciekawe, to nie Keanu spuścił mi łomot. To Levi. Za te bankiety, te wszystkie wystawne imprezy, na których musiałem być... z Zarą Page. Tak, z nią. Nawet jej nie dotknąłem, ale to nie miało znaczenia. Plotki, zdjęcia, portale – stworzyły alternatywną wersję rzeczywistości.

A pierścionek? Tak, był. Śmieszne zaręczyny – o ile można tym słowem nazwać moment, w którym rzuciłem jej w twarz klejnot kupiony przez mojego ojca. Żadnych oświadczeń. Żadnej miłości. Tylko teatrzyk dla mediów.

Jestem na jego smyczy. A właściwie na pięciu. Każda zaciska się coraz mocniej. Próbuję się z nich zerwać, szukam wyjścia, ale odbijam się od ścian.

Więc tak – Levi mnie uderzył. Tarzaliśmy się po jego podwórku jak jacyś pieprzeni wariaci, ale w tamtej chwili to było potrzebne. Później usiedliśmy i spił mnie piwem prawie do odcinki. Powiedziałem mu wszystko, co mogłem, nie narażając nikogo, kogo kocham.

W międzyczasie nie przestałem szukać rodzeństwa Waltersów. Ani mojej siostry, którą ojciec ukrył nie wiadomo gdzie.

Zack przejął prowadzenie firmy, bo ja... Ja nie nadawałem się wtedy do niczego. A raczej – nadawałem się tylko do jednego: do odnalezienia Nel. Do obsesyjnego planowania każdego kroku, który miał doprowadzić mnie z powrotem do niej i Keanu. I do zemsty.

Nie chodziło mi o zemstę w stylu mojego ojca – spektakularną, głośną, z hukiem i rozpryskiem. Nie. Ja planowałem cicho, precyzyjnie. Chciałem, żeby było już za późno, kiedy się zorientuje. Żeby

nie miał nic. Ani wpływów. Ani pieniędzy. Ani ludzi. Żeby został sam, w ciszy, której tak bardzo się boi.

To pole minowe. Jeden błąd, jeden fałszywy ruch i któryś z jego wiernych piesków doniesie, że coś się dzieje. Dlatego działałem jak saper – krok po kroku, uważnie, bez emocji, choć w środku gotowałem się ze złości.

I wtedy przyszło zaproszenie.

Ballmer Defense.

Po miesiącach moich starań, maili, rozmów na około, wypuszczenia kontrolowanych sygnałów i czekania na ich ruch – odpisali. Zaprosili nas z ofertą...

Właśnie wtedy, gdy ojciec wymusił na mnie coś, czego nigdy sobie nie wybaczę. Coś, przez co skrzywdziłem tych, których kocham najbardziej.

Wahałem się. Każda cząstka mnie krzyczała, żeby to zignorować, bo to już nie miało sensu, skoro umowa z Page została podpisana. Ale Louis nalegał. Powiedział, że muszę się ruszyć. Że mam nie tylko myśleć o zemście, ale też działać. Że on mnie potrzebuje. Że musi mieć moje plecy i kogoś, komu ufa.

Jemu zależało na firmie ojca – tej oficjalnej, legalnej twarzy imperium, którą jeszcze dało się uratować. A mnie? Mnie obchodziła tylko moja firma detektywistyczno-ochroniarska. Zależna od tamtej. Jeszcze. Bo wciąż formalnie należała do ojca.

Pojechałem. Nie liczyłem na nic wielkiego. Nie przeczuwałem, co nas tam czeka.

Dopiero gdy znaleźliśmy się w sali konferencyjnej, wszystko uderzyło we mnie z siłą burzy. To, co tam zobaczyliśmy... rozwalilo mózg każdemu, kto tam był.

Znalazłem ich.

Nie.

Pozwolono mi ich znaleźć.

Nel. Keanu.

Walters Ballmer.

B. Walters.

„B”, o które nigdy nie zapytałem.

I... moja córka.

Tak, moja córka. Malutkie szczęście w brzuchu mojej Nel.

Świat stanął w miejscu. I choć serce waliło mi wtedy jak młotem, to wiedziałem jedno – nie pozwolę, by ktoś jeszcze mi ich odebrał.

Dwie smycze właśnie się zerwały. Ojciec nigdy nie odważy się wykonać żadnego ruchu w ich stronę – nie jest głupi. Doskonale zdaje sobie sprawę, że jako właściciele jednej z najpotężniejszych firm zbrojeniowych na świecie od lat żyją w nierozzerwalnej symbiozie z władzą i służbami specjalnymi. Są złotymi dziećmi rządu, każdego, niezależnie od opcji politycznej, traktowanymi z najwyższą ostrożnością. To właśnie ich firma zaopatruje Stany Zjednoczone w broń – nowoczesną, niezawodną, bezpieczną.

Dla państwa są bezcenni. I nietykalni.

Dlatego od zawsze byli tak dobrze ukryci. Każdy ich ruch, każdy adres, każde pojawienie się w jakiegokolwiek bazie było jak cień – widoczne tylko wtedy, kiedy sami tego chcieli.

A teraz pojawiła się jeszcze moja córka.

To już nie jest tylko kwestia bezpieczeństwa – to sprawa życia i śmierci. Nikt, absolutnie nikt nie może się o niej dowiedzieć. A przede wszystkim – nie może wiedzieć mój ojciec.

Mam pewność, że Louis, Zack i nasi przyjaciele nas nie zdradzą. Są lojalni. Są rodziną. Ale nawet przy największym zaufaniu trzeba zachować zimną krew.

Mała musi być chroniona tak samo, jak przez lata chroniona była Nel. A właściwie – jak wciąż jest. Nie może wyciec ani jedno zdjęcie. Ani jeden ślad. Żadna poszlaka, żadne podejrzenie, żadna plotka. Dla świata Cornelia Walters Ballmer pozostaje zaginioną dziedziczką imperium. Tajemnicą owianą milczeniem.

I tak musi pozostać.

Ale nie tylko to może mi je odebrać. Prawdziwym zagrożeniem jest coś, czego nikt z nas nie potrafi kontrolować.

Ciało. Organizm. Nerka, która była pod naszą obsesyjną obserwacją. Trzymaliśmy ją pod kontrolą, analizowaliśmy każdy wynik, każdą zmianę parametrów, każdy sygnał. Ale teraz ta nerka nie walczy już tylko dla jednej osoby. Teraz musi utrzymać przy życiu dwie. Moje wszystko. Moją kobietę i naszą córkę.

I nie daje rady.

A ja nie mogę być przy nich. Z własnej winy.

W zamian mam telefon w dłoni i strzępy informacji. Szukałem lekarzy. Najlepszych. Prywatnych. Międzynarodowych. Związałem się z każdą możliwą kliniką, przeglądałem medyczne fora. Ale wciąż nie wiedziałem do końca, co się dzieje. Raport, który udało nam się zobaczyć, był ubogi, ledwie zarysowany. Nic konkretnego. To było jak cząsteczka tlenu w próżni. Liść gałązki oliwnej od mojego szwagra.

Po powrocie do Nowego Jorku nie miałem już wątpliwości. Zerwałem umowę pomiędzy rodzinami. Tę, która miała cementować układ sił, zależności, fortuny.

Page... Cóż. Przyjął to bez większego poruszenia. Jakby dokładnie wiedział, że ten dzień nadejdzie. Że mimo wszystko się wycofam. Nel na tamtej kolacji zrobiła na nim wielkie wrażenie.

Mój ojciec z kolei... wpadł w furję.

Najpierw był szok – niedowierzanie, że jego własny syn wyciął go z układu. A potem przyszła złość. Wrzeszczał przez telefon, wysyłał swoich ludzi, próbował grozić, szantażować tym, co mu zostało. Uderzył we wszystko, co jeszcze posiadał.

Myślał, że wybiorę rodzinę.

I wybrałem. Ale swoją. Nie jego.

Wybrałem Nel. Moje dziecko. Życie, które powstało z miłości, a nie z kontraktu podpisanego krwią i ambicją.



W firmie pojawiaam się po raz ostatni na kilka dni przed wylotem do Kalifornii.

– Jak ci się siedzi w fotelu? – pytam z pozornym spokojem, stając naprzeciw Zacka.

Unosi głowę znad dokumentów i z ironicznym uśmiechem odchyła się w fotelu, puszczając jednocześnie dym papierosowy w powietrze.

– Czuję się jak prezes, którym teraz jestem, prawda? – rzuca nonszalancko.

– Nie przyzwyczajaj dupy – odpowiadam sucho, wyciągając fajkę i siadając naprzeciwko. Roluję ją w palcach, walcząc z chęcią zapalenia.

– Chyba muszę, bo nie sędzę, żebyś tak szybko wrócił – mruczy. – Klęczenie przy murach Kanossy to rozrywka w porównaniu z tym, co cię czeka.

– Wiem. – Przetykam gorzką ślinę. – I przyjmuję to na klatę.

Zack wzdycha, wyciąga kolejnego papierosa, odpala i zarzuca swoje trepy na moje lśniące biurko. Spoglądam na nie wymownie, ale dupek nie zwraca na to nawet najmniejszej uwagi.

– Jak nasz nowy trener? Daje radę?

– Trafił się jak ślepej kurze ziarno – odpowiada lekko, ale widzę w nim trochę zazdrości.

Wypuszcza dym, spogląda w sufit i z lekkim półuśmiechem mówi:

– Muszę podziękować twojej kobiecie. Postawiła ci się mimo wszystko. – Milknie na chwilę, a potem dodaje z wyraźnym zadowoleniem, które okazuje, kiedy chce mi dokopać: – Chociaż... to już chyba nie jest twoja kobieta, co?

Zaciskam zęby. Ostatnio tak często to robię, że czeka mnie wizyta u stomatologa. Na bank.

– Jest – mówię z całą siłą przekonania, jaką jeszcze mam. – Zawsze będzie. Ale tak, to dzięki niej.

Mierzymy się wzrokiem. On doskonale wie, jakie emocje we mnie wywołuje. I mimo że wygląda to na gnębienie mnie, Zack daje mi kopa do działania. Bo tak właśnie funkcjonuje mój mózg.

Przez moment w gabinecie słysząc tylko tykanie zegara i ciche trzaski papierosa żarzącego się na końcu.

Bezdomny, o którego się wtedy pokłóciliśmy z Nel, okazał się byłym żołnierzem. Gerard García. Wrócił z misji, ale system nie miał dla niego miejsca. PTSD, brak wsparcia, zero terapii. Wszystko stracił. Nie chciał litości, pragnął tylko przetrwać. Zamieszkał na ulicy, z dala od ludzi, którzy mogliby go rozpoznać. A Nel wyciągnęła do niego rękę. Dała pojemnik z jedzeniem. Tak po prostu. Jakby to było oczywiste. Jakby każdy na świecie zasługiwał na drugą szansę. Ja chciałem, żeby to olała. Bo nie warto. Właśnie tak, jak ja już raz olałem. Na skrzyżowaniu, wtedy w drodze na obiad do rodziców, podszedł do mnie taki sam facet, spojrzał mi prosto w oczy, a ja odwróciłem wzrok. Z obrzydzeniem.

Na moją prośbę chłopacy sprawdzili Gerarda – dokładnie i bez zbędnych pytań. Przeszłość, kartoteki, gdzie nocuje i jak żyje, wszystko, co mogli znaleźć. A potem... Potem zabrali go do naszej firmy.

Dali mu jeden z pokoi gościnnych, tych, które trzymamy „na wszelki wypadek”. Pokój z łazienką, ciepłym łóżkiem, prywatnością. Dostał świeże ubrania, gorący posiłek. I – co najważniejsze – nie usłyszał żadnych pretensji ani litości.

To wszystko wydarzyło się, zanim zdążyłem powiedzieć choćby słowo.

Wiedzieli. Wiedzieli, że skoro się nim zainteresowałem, to nie bez powodu. A może sami zobaczyli to, co i Nel – coś więcej.

Kiedy przyszedłem do firmy i go zobaczyłem... nie poznałem go. Ogolony, czysty, wyprostowany. W oczach miał nadal cień, ale twarz już nie była tą samą maską zniszczenia i obojętności. Nie pił.

Nie ćpał. Po prostu – jego głowa wcześniej nie dawała sobie rady z rzeczywistością.

Zabraliśmy go z Zackiem na jeden z treningów z naszymi chłopakami.

Nie odstawał ani trochę.

Ruchy miał precyzyjne, refleks ostry, ciało zapamiętało więcej, niż mogłoby się wydawać.

Zatrudniłem go niemal natychmiast.

Jak się okazało – jest nie tylko świetnym pracownikiem, ale też znakomitym nauczycielem. Trenerem z prawdziwego zdarzenia. Cierpliwym, ale wymagającym. Budzącym respekt bez krzyku, tylko samą postawą.

Jest prawie tak dobry jak Zack. A to już naprawdę coś znaczy.

– Wynająłem mieszkanie w centrum Santa Clara. Niezbyt daleko od siedziby Ballmer Defense. Żebyś nie musiał za każdym razem biegać przez pół miasta po przepustkę, którą wyda ci braciszek twojej damy, Keanu. – Zack lekko się krzywi, gdy wypowiada imię brata Nel.

Nie ukrywa, że temat Keanu nie jest jego ulubionym. Właściwie jedyne, co kiedykolwiek o nim powiedział, to tamte zdawkowe słowa w samochodzie w drodze powrotnej. Teraz milczy jak zakłęty. Ale widzę, że coś go kłuje w dupę. Jednak znam go na tyle, by wiedzieć, że jak sam nie będzie chciał, to nawet pół słowa nie powie.

– Hotel by wystarczył – mruczę.

– Mieszkanie jest bezpieczniejsze. Sprawdziłem budynek. Kamery, dostęp tylko na kod i odcisk palca. Idealne miejsce, żeby nie rzucić się w oczy. – Zakłada ręce na kłacie. – Gdyby jednak udało ci się przeprosić Nel i zabrać ją na schadzki z daleka od wzroku jej brata i otoczenia.

Zack po raz kolejny pokazuje, że myśli nad wieloma scenariuszami.

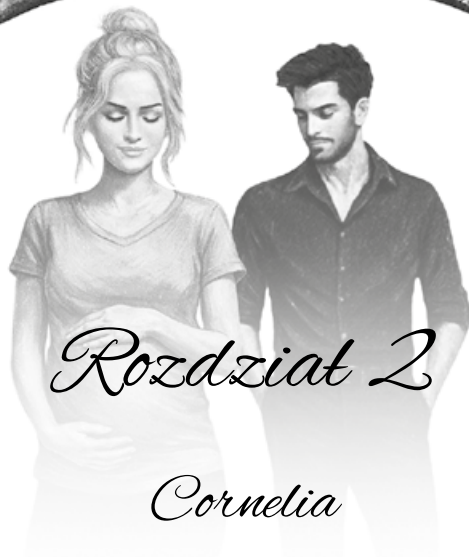
– Wiesz, że jak coś się posypie, to wsiałam w samolot i lecę?

– Wiem. Ale ogarniałem już większy burdel niż ten. Bez przesady. Twój brat też trzyma się planu i grzecznie chodzi z ochroną, więc dam radę.

To pewne, że da. Jest jedną z niewielu osób, którym ufam. Poza tym znam go. Firma jest dla niego ważna. Czasami mam wrażenie, że nie widzi innego sensu w życiu.

– Dzięki, Zack.

– Nie ma za co – odpowiada beznamiętnie. Spogląda mi prosto w oczy i dodaje: – Odzyskaj Nel. I tę małą księżniczkę. One czekają. Nawet jeśli ci tego nie powiedzą.



Delikatne sploty wełnianego koca przyjemnie muskają moją skórę, otulając mnie znajomym ciepłem. Z oranżerii na dachu, przekształconej w moją osobistą szklarnię, spoglądałam na rozciągającą się przede mną panoramę Santa Clara. Wczesny poranek powoli budzi miasto – zza lekkiej mgły wyłaniają się dachy, ulice i drobne zarysy samochodów, przesuwających się ospale niczym mrówki po geometrycznej siatce.

To moje rodzinne miasto. *Ale czy naprawdę je znam?*

Prawda jest taka, że Santa Clara zawsze była dla mnie jedynie tłem – rozmażanym obrazem za oknami samochodów, ozdobnikiem opowieści, których nie byłam częścią. Dorastałam w zamkniętej enklawie luksusu – w posiadłości, która mogła z powodzeniem funkcjonować jako oddzielny świat. Było wszystko: prywatny plac zabaw, korty, boiska, basen z podgrzewaną nawet zimną wodą. Jednego tylko brakowało – ludzi.

Na zewnątrz wychodziłam tylko wtedy, gdy musiałam. W towarzystwie ochroniarzy. Braci. Czasem rodziców. Ale i tak – zawsze w cieniu, zawsze niewidzialna. Pilnowano, by nikt mnie nie

sfotografował, nie rozpoznał, nie zapamiętał. Moje życie było niczym scenariusz, który ktoś inny pisał za mnie, pilnując, by nie było żadnych nieprzewidzianych zwrotów akcji.

A jednak oto jestem. W kolejnym pałacu, w kolejnej klatce. Tym razem jednak złoto, z którego została zbudowana, wybrałam sama.

Pierwsze krople deszczu z cichym stukotem spadają na szklany dach oranżerii, przynosząc ze sobą znajomy, melancholijny rytm. Można by pomyśleć, że w Kalifornii zawsze jest ciepło, zawsze pogodnie. Że słońce to tutaj stały element krajobrazu. Ale Santa Clara to nie Los Angeles. Tu pogoda potrafi zaskoczyć. Wczoraj słońce paliło skórę przez szybę, dziś jest chłodno i pada deszcz. Czuć wilgoć w powietrzu, a okna pokrywa delikatna mgiełka, jakby świat chciał się przede mną skryć jeszcze bardziej.

Podkreścam ogrzewanie. Ciepło natychmiast zaczyna unosić się z kratk wentylacyjnych, rozpraszając chłód nie tylko w pomieszczeniu, ale też gdzieś głębiej – tam, gdzie kilka tygodni temu zagnieżdżyła się niepewność.

W tym miejscu – choć na chwilę – mogę poczuć się tak, jakbyśmy znów byli w Harborbrook. Otacza mnie znajoma zieleń: kwiaty, krzewy, zapachy. Kupiłam nawet kilka roślin, które miały wypełnić pustkę, ale żadna z nich nie przyniosła radości. To było działanie z przyzwyczajenia, nie z potrzeby serca.

Mój wzrok co jakiś czas mimowolnie zatrzymuje się na hortensji ukrytej za innymi krzewami. Patrzenie na nią boli – tak samo jak bolało wtedy, gdy stanęłam twarzą w twarz z rodziną Williamsonów. Twarzą w twarz z Elijahem.

To uczucie było jak rozdarcie – ktoś chwycił moje serce, rozerwał je, zmiażdżył, spalił, a potem rozsypał jak konfetti, jakby nie miało już żadnej wartości. Widok Elijaha mnie złamał. Ale nie mogłam dać tego po sobie poznać. Jeśli on wybrał swoją rodzinę, to ja musiałam wybrać siebie. I moją nową rzeczywistość.

Nigdy nie sądziłam, że to, skąd pochodzę, okaże się aż tak wielkim problemem. Przecież zapewniał, że żadne jego interesy ani układy rodziny nie mają znaczenia. Że sam wybierze, kto zostanie jego żoną. Okazało się, że jednak nie. Że nazwisko i pozycja mają większe znaczenie niż uczucie. Więc skoro to właśnie one są najważniejsze – pokazałam mu, co naprawdę stracił.

Czy czuję się z tym dobrze?

Oczywiście, że nie.

To nie jestem ja. Ale jestem zraniona. Samotna. W ciąży. Mam w sobie ogrom wyrzutów sumienia, że nie powiedziałam mu wcześniej o moim pochodzeniu, o nazwisku, które noszę. Nie dlatego, że chciałam coś ukryć. Po prostu nie sądziłam, że to ma znaczenie. Nigdy tak naprawdę nie skłamałam – mówiłam prawdę o moich rodzicach, o bracie, o tym, czym się zajmuję. Po prostu nie wspominałam, że jestem zaginioną dziedziczką miliardowego imperium zbrojeniowego.

Do listy moich wyrzutów sumienia dołączył kolejny – mała fałsolka.

Kładę dłoń na brzuchu, który wyraźnie się zaokrąglił. Nie da się go już pomylić z przejedzeniem czy złym ułożeniem ciała – ciąża jest widoczna, niepodważalna. Przy mojej drobnej sylwetce to było nieuniknione.

Jeszcze podczas spotkania z rodziną Williamsonów udało mi się ukryć ją pod sukienką, ale teraz... Teraz byłoby to znacznie trudniejsze. Zresztą piersi również urosły – wreszcie wyglądają tak, że mogłabym się nimi pochwalić bez skрэpowania, gdybym tylko miała ku temu powód.

Delikatne, rytmiczne puknięcia z wnętrza przypominają mi, że życie pod moim sercem nie należy tylko do mnie. Że nie jestem sama. Że jest ktoś jeszcze, kto powinien o niej wiedzieć.

Jej ojciec.

Wielokrotnie miałam w dłoniach swój stary telefon, niemal odpalając go tylko po to, by zadzwonić. Zawsze kończyło się tak samo – zamieraniem palców nad ekranem, sercem ściskany przez niepewność i żal. Ostatnim razem już prawie się udało. Już wpisywałam kod, gdy ekran na laptopie rozbłysnął powiadomieniem z portalu plotkarskiego.

Zdjęcia. Ich zdjęcia.

Zary i Elijaha.

Ona promieniała szczęściem – cała w uśmiechu, rozświetlona, jakby świat należał do niej. On natomiast... miał tę samą minę, jaką przybierał zawsze, gdy był pod ostrzałem spojrzeń. Surowy, nieprzenikniony. Wykuty z marmuru.

Wydrukowałam każde zdjęcie, jakie znalazłam. Każde, bez wyjątku. Przeglądałam jej media społecznościowe, szukałam czegośkolwiek, co miało jego cień. Jego sylwetkę. Dotyk jego dłoni na jej talii... On swoje konta zawiesił – być może dlatego, że nie chciał, by coś z naszej przeszłości tam zostało.

Chciałam sprawdzić, czy nasze zdjęcia wciąż tam są. Nie twarze, bo tego pilnowaliśmy, ale dłonie, splecione palce, nogi stykające się pod kocem, fragmenty wspólnych chwil zamknięte w kadrach.

Teraz ich zdjęcia leżą w szufladzie mojej sypialni, poukładane, przeglądane co wieczór jak bolesny rytuał. Tortura, do której wracam, gdy Keanu już śpi, a apartament pogrąża się w ciszy. Tylko wtedy mogę płakać bez spojrzenia pełnego lęku i troski. Bez konieczności udawania, że wszystko jest w porządku.

Bo nie jest. I nie jestem pewna, czy kiedykolwiek znowu będzie.

Tym bardziej, że moje ciało coraz częściej odmawia posłuszeństwa. I to nie dlatego, że nerka przestała pracować – sądzę, że w normalnych warunkach świetnie by sobie poradziła. Ale moja drobna budowa znów okazuje się przeszkodą. Powiększająca się macica zaczęła uciskać narządy wewnętrzne, prowadząc do poszerzenia miedniczek nerkowych i moczowodów.

Niestety to szybko przerodziło się w zastoje moczu, a potem w pierwsze objawy niewydolności. Na szczęście zareagowano błyskawicznie – decyzja o rozpoczęciu hemodializ zapadła natychmiast i uratowała sytuację.

Najdziwniejsze – a może najbardziej poruszające – było to, co wtedy pomyślałam. Gdy lekarze mówili o zagrożeniu i możliwościach leczenia, moja pierwsza myśl nie dotyczyła mnie. Tylko jej. Mojego dziecka. Martwiłam się, jak to wszystko wpłynie na rozwój fasolki, a nie na moje samopoczucie czy zdrowie.

Wtedy chyba po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że naprawdę myślę jak matka.

Lekarze byli świetni. Profesjonalni, szybcy, uważni. Po każdej dializie przez kilka godzin czułam się względnie dobrze – lekka, oczyszczona. Ale później, kiedy organizm znowu zaczynał przyjmować płyny, pojawiał się ból. Ostry, przeszywający, jakby każdy łyk wody był ciosem.

Dlatego zaczęłam ograniczać picie. Niewłaściwe, wiem. Ale to przynajmniej nie prowadzi do natychmiastowej fali bólu, nie rzuca mnie na kolana w nocy. To wybór między złym a gorszym – a ja próbuję wybierać to, co pozwala mi przetrwać kolejny dzień.

Na to wszystko – z paniką, przerażeniem i obsesyjną czujnością większą niż kiedykolwiek – patrzy mój brat. Jego wewnętrzne alarmy opiekuńczości wyją na najwyższych poziomach, uruchamiając się przy każdym szczególe z mojego życia.

Pilnuje dosłownie wszystkiego: mojego jedzenia, suplementów, leków, temperatury w mieszkaniu. Każdego dnia kontroluje, czy niczego nie pomijam, czy przestrzegam zaleceń, czy nie ryzykuję bardziej, niż powinnam.

Penthouse z prywatnym tarasem na dachu to nasz mały azył wysoko nad miastem. Winda prowadzi prosto z podziemnego garażu do mieszkania. Przestrzeń należy wyłącznie do nas. Ochrona jest na dole – tam, gdzie powinna być. Udało mi się przeforsować

pomysł, by nie stacjonowali również na naszym piętrze. Granica była potrzebna. Nie chciałam jeszcze bardziej czuć się jak więzień we własnym domu. Nie dajmy się aż tak zwariować.

– Jak się dzisiaj czujecie? – Z chmury myśli wyrывa mnie znajomy głos. Keanu właśnie pojawia się w drzwiach z tacą śniadaniową w dłoniach.

Mimo że minęło już kilka miesięcy, wciąż nie mogę się przyzwyczaić do jego nowego – a właściwie starego – wyglądu. Przed naszą przeprowadzką do Harborbrook wyglądał dokładnie tak samo, ale przez lata zdążyłam o tym zapomnieć.

Już nie kucyk i broda, tylko krótko przycięte boki, dłuższe włosy na górze, idealnie ogolona twarz. Do tego doskonale skrojony trzyczęściowy garnitur. Gdyby ktoś go teraz zobaczył, nigdy nie powiedziałby, że ten elegancki Ballmer z Santa Clara to Keanu Walters – chłopak z małego miasteczka.

– Wszystko w porządku – odpowiadam z uśmiechem. – Nic mnie nie boli, a mała właśnie się obudziła.

Odwijam się z koca, a Keanu jak każdego ranka podchodzi, kuca i kładzie dłoń na moim brzuchu.

– Dzień dobry, moja mała księżniczko – mówi cicho, z czułością, której nie jestem w stanie zignorować. – Może przesunęłabyś się dziś na drugą stronę brzucha mamy, co? Będziesz grzeczną dziewczynką?

– Nie sądzę, żeby rozpatrzyła twój wniosek – odpowiadam z przekąsem, przewracając oczami. Chwilę później czuję, jak oczy napęlniają mi się łzami.

– Nel...

– Nie – ucinam, zanim powie więcej.

Wiem, do czego zmierza. On też wie. Wie, że gdy mówi do niej, gdy dotyka mojego brzucha z taką troską... to mnie rozbraja. Że chciałabym, żeby robił to Elijah.

– Powinien wiedzieć – upiera się cicho. Jak co dzień. Próbuje przemówić mi do rozsądku.

– Nie chcę, żeby moje dziecko miało jakikolwiek kontakt z tamtą rodziną. Ani z nią – mówię ostro.

– Nie musi mieć kontaktu z całą rodziną – odpowiada spokojnie Keanu, głaszcząc jeszcze raz brzuch, a potem siada przy stoliku. – Ani z jego narzeczoną, żoną czy kimkolwiek ona dla niego jest. Ale Elijah ma prawo wiedzieć. Milczenie wobec niego... to po prostu nie fair. Jeśli będzie chciał uczestniczyć w życiu małej, a po tej całej szopce podczas Święta Dziękczynienia myślę, że będzie chciał, postawisz warunki. Jasne i konkretne. Na przykład: odwiedziny tylko u nas i zawsze w naszej obecności.

– Muszę to przemyśleć – mówię cicho, żeby dał mi spokój, chociaż na moment.

– Nie sądzę, żebyś miała na to zbyt wiele czasu. To już prawie połowa...

– A więc została jeszcze druga, prawda? – rzucam z lekkim uśmiechem, próbując zatuszować napięcie.

– Nasi przyjaciele też powinni się dowiedzieć. Przylatują za kilka dni, a z ciebie już zrobiła się całkiem urocza kuleczka – zauważa z delikatnym uśmiechem Keanu.

Chciałam najpierw powiedzieć Elijahowi... Ale wyszło, jak wyszło.

– Powiem im, gdy przylecą. – Wzdycham, kładąc dłoń w miejscu, gdzie znowu poczułam puknięcie którejś kończyny małej.

– Miałaś inny plan – zauważa cicho, chcąc mnie lekko pchnąć w stronę decyzji.

Rozumiem punkt widzenia mojego brata. Jest facetem – chciałby wiedzieć i uczestniczyć w życiu swojego dziecka, będąc w takiej sytuacji. Co sprawia, że w mojej głowie wychodzę na toksyczną osobę. Nie podoba mi się ta myśl.

– Może nie ma znaczenia, kto się dowie pierwszy – odpowiadam markotnie i wymijająco.

– Wiesz, że się z nim spotykają. Któraś może powiedzieć coś... przypadkiem.

– Może to nawet byłoby lepsze. – Wzruszam ramionami, ale sama nie wierzę w swoje słowa.

Keanu patrzy na mnie uważnie i widzę w jego spojrzeniu zawód.

– Cornelio... nie jesteśmy tchórzami.

– Prześlij mi dziś coś do pracy – rzucam, odcinając temat, zanim zdoła się rozwinąć. – Czuję się dobrze, więc mogę trochę popracować.

Zaczynam skubać śniadanie, a mój brat głośno wzdycha, wiedząc, co robię. Sięga po kawę.

– Nie musisz pracować – mówi z rezygnacją.

– Nie przerzucam przecież ton węgla, tylko wklepuję cyferki. – Macham ręką. – Moja głowa może chwilę odpocząć od emocji, a ja... no cóż, mogę poudawać, że mam jakiś wkład w naszą firmę. Gówniany, bo gówniany, ale jakiś.

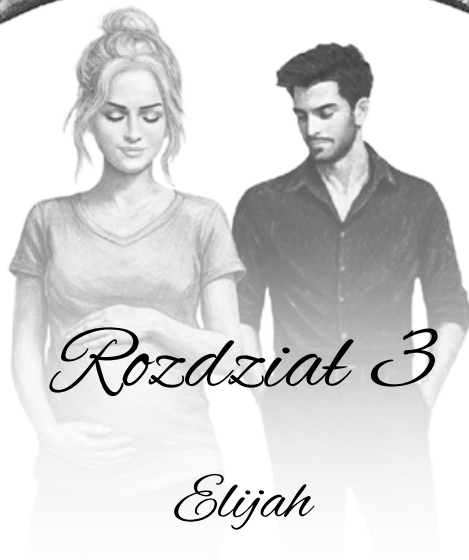
Z hukiem odstawia kubek na stół.

– Jesteś jednym z najlepszych analityków, jakich mamy. Sama wiesz. Sam cię tego uczyłem. Twój wkład nie jest żadną atrapą, jest ogromny. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że wcale nie musisz nic robić. – Podnosi się szybko, poprawia marynarkę i otrzepuje spodnie. Podchodzi, pochyla się i całuje mnie w czubek głowy. – Widzimy się później. Ty i fasolka odpoczywajcie.

Patrzę, jak wychodzi, a potem zerkam na zegarek.

Wciąż wcześnie.

Najpierw pojedzie do Alexa. Zawsze najpierw jedzie do Alexa.



Rozdział 3

Elijah

Dostać się do prezydenta byłoby prościej niż do tego dupka. Przysięgam, czasami mam wrażenie, że Keanu zniknął z powierzchni ziemi albo ukrywa się w jakimś bunkrze, chroniony przed światem grubymi murami i armią ochroniarzy. Nie odbiera telefonów. Nie odpisuje na maile. A jego sekretarka z anielską cierpliwością i diabelską skutecznością odsyła mnie z kwitkiem przy każdej próbie kontaktu.

Usiłowałem też podejść go od innej strony – przez ich tymczasowego prezesa. Na nic się to jednak nie zdało. Z udawaną uprzejmością oznajmił, że to on nadal pełni funkcję prezesa i wszelkie sprawy służbowe mam kierować wyłącznie do niego. Gdyby mógł, pewnie postawiłby na korytarzu tabliczkę: „Ballmer Waltres niedostępny. Spróbuj za sto lat”.

Jeśli Keanu sądzi, że uda mu się mnie spławić, jest w ogromnym błędzie.

Po tygodniach niekończącej się frustracji, odbijania się od zamkniętych drzwi i zderzania z głułą ciszą w końcu udaje mi się przedostać do ich siedziby – strzeżonej jak jakaś przeklęta wieża.

Wkraczam tam z podniesioną głową, zdeterminowany, gotów zmierzyć się z każdą kolejną przeszkodą, jaką przede mną postawią.

Pierwszą z nich, jeszcze zanim wejdę do środka, okazuje się piekielne kalifornijskie słońce. Skwar leje się z nieba, próbując mnie ugotować żywcem, nim zdążę postawić choćby krok w klimatyzowanym holu. A kilka dni temu łało, jakby miało mnie utopić.

W końcu docieram do recepcji. A tam... ona.

Sekretarka, której głos – suchy, uprzejmy i bezlitosny – śni mi się po nocach. Siedzi za biurkiem niczym Cerber pilnujący bram piekła, z miną mówiącą wyraźnie: „Próbuj, jeśli masz odwagę”. W dłoniach trzyma telefon i długopis, ale równie dobrze mogłaby dzierżyć miecz i tarczę.

– Chciałbym rozmawiać z prezesem – rzucam oschle. Nie zamierzam tracić czasu na uprzejmości wobec kobiety, która przez wiele dni konsekwentnie ignorowała moje telefony i e-maile.

Sekretarka powoli odrywa wzrok od monitora, jakby spojrzenie na mnie było dla niej niebywałym wysiłkiem. Mierzy mnie wzrokiem pełnym znudzenia, dokładnie takim, jaki rezerwuje się dla nachalnych, chodzących po domach sprzedawców odkurzaczy na „promocji”.

– A, to pan... – Wzdycha przeciągle. – Szefa nie ma. Poza tym nie przyjmuje bez wcześniejszego umówienia spotkania – dodaje tonem, który brzmi niemal jak automatyczna sekretarka odtwarzająca dobrze wyuczoną formułkę.

– Próbowałem się umówić – przypominam jej, zaciskając zęby. – Wielokrotnie.

Patrzy na mnie przez chwilę z udawaną uprzejmością, a potem wzdusza ramionami.

– Pan Ballmer jest bardzo zapracowanym człowiekiem. Nie dla każdego znajdzie czas – mówi z wyraźną nutą drwiny w głosie. Jest aż nazbyt pewna siebie, najwyraźniej poczuła się nietykalna za biurkiem w tej swojej szklanej twierdzy.

Zaciskam pięści, czując, jak narasta we mnie frustracja.

– Nie odejdę stąd bez...

– Wpuść go, Moniko, zanim rozbije tu obóz i zacznie domagać się azylu politycznego. – Przerywa głos z korytarza.

Odwracam się. W futrynie stoi on – mój przyszyły-niedoszły szwagier. Oparty nonszalancko o framugę i z rękami głęboko w kieszeniach spodni patrzy na mnie z obrzydzeniem, jakby zobaczył karalucha pełznącego po podłodze.

Jego postawa i wyrachowany uśmiech tylko dolewają oliwy do ognia buzującej we mnie wściekłości.

– Nie proponuję kawy. – Keanu wzrusza ramionami, a ja wchodzi za nim do środka. – Wątpię, żeby zdążył ją pan wypić.

Patrzę na niego z niedowierzaniem, a on uśmiecha się do mnie szeroko, niepokojąco – jak Joker tuż przed kolejnym chaosem. W tej chwili rozumiem już coś istotnego: w tej firmie prawdziwą władzę ma sekretarka. On jej tylko pilnuje.

– Nie wierzę, że musiałem przelecieć tysiące mil, żebyś wreszcie raczył ze mną porozmawiać – warczę, starając się stłumić rosnącą wściekłość. – Od dwóch tygodni próbuję się do ciebie dobić.

Keanu patrzy na mnie spokojnie, niemal obojętnie, jakby analizował sytuację niczym chłodny sędzia. Zero emocji, żadnej reakcji.

– Nie widziałem powodu, by się spotykać – odpiera po chwili lodowato. – Bo, szczerze mówiąc, nie mamy o czym rozmawiać.

– Naprawdę? – Rzucam papiery na stół z siłą, jakiej sam się nie spodziewałem.

On nawet nie drgnie. Ani jednym spojrzeniem nie zaszczycza dokumentów, które dla mnie są ciężarem świata. Unosi tylko brew i czeka w milczeniu.

– Cornelia jest w ciąży! I w trakcie dializ! – wybucham, unosząc ręce w desperackim geście. Serce wali mi młotem, a krew pulsuje w uszach. Każde wypowiedziane słowo boli, jakbym wbijał sobie kolce pod skórę.

Ponownie brak większej reakcji. Spogląda na mnie jedynie chłodnym, wypranym z emocji wzrokiem.

– I? – pyta tonem kogoś, kogo informacja o deszczu w weekend poruszyłaby dokładnie w takim samym stopniu.

– I gówno! – wrzeszczę, czując, jak resztki kontroli wyparowują. – Dlaczego nikt mi nic nie powiedział?!

Słowa wystrzeliły ze mnie jak pociski. Ale naprzeciwko siedzi mężczyzna, którego nic już chyba nie jest w stanie poruszyć.

– A dlaczego miałbyś wiedzieć? – Jego monotony głos doprowadza mnie do pasji i chęci morderstwa.

– Bo to moje dziecko. I moja kobieta. – Staram się utrzymać kontrolę nad sobą, choć emocje zaczynają mnie przytłaczać.

– A na jakiej podstawie tak sądzisz?

– Naprawdę postawiłeś sobie za cel wykończyć mnie bez rozlewu krwi? – Dobrze wiem, że to pytanie jest bardziej wyrzutem niż próbą uzyskania odpowiedzi. Jak nie będzie chciał, to nic nie powie.

Wzrusza lekko ramionami, najwyraźniej moje cierpienie w ogóle nie robi na nim wrażenia.

– Nie żebym nie potrafił zabić bez rozlewu krwi. Rząd Stanów Zjednoczonych zainwestował sporo czasu i pieniędzy, by mnie tego nauczyć... – zawiesza na moment głos, po czym dodaje jeszcze chłodniej: – Nel nie jest twoją kobietą. Masz narzeczoną, z tego, co pamiętam, a wasze słodkie zdjęcia zdobiły wszystkie brukowce. A co do dziecka... Jaką masz pewność, że jest twoje?

Jego słowa są jak nóż wbity prosto w serce.

– To moja córka! – krzyczę, pokazując swój ból, a on unosi brew w geście teatralnego zdziwienia. – Tak, ty pieprzony dupku, wiem, że to dziewczynka! I pytam, czemu, do cholery, nic o niej nie wiedziałem?!

– Skoro o niej mówisz, to znaczy, że już wiesz – odpiera totalnie niewzruszony. – Poza tym czy to nie ty powtarzałeś na prawo

i lewo, że nigdy nie będziesz miał córki, bo Bóg wie, że sobie z nią nie poradzisz?

Wypowiedź pełna kpiny tnie mnie jak brzytwa. Zgadza się – mówiłem tak, a te słowa, mimo że wypowiedane w żartach, gryzą mnie w dupę. Przefykam gorycz i wbijam w niego spojrzenie ostre jak sztylet.

– Powtarzam: dlaczego nic nie wiedziałem? – cedzę.

– Bo moja siostra tak postanowiła. I ja to szanuję. Poza tym... kiedy miała ci powiedzieć, skoro ogłaszałaś zaręczyny z... gwiazdą porno. A nie, przepraszam, z „modelką”.

Opada mi szczeka. Uderza o podłogę z takim hukiem, że niemal go słyszę. Siadam na krześle przy biurku.

Wie. Już wtedy wiedziała. A ja... wyrzuciłem ją ze swojego życia, gdy powiedziała mi, że dalej ma jedną nerkę.

– Dlaczego Nel jest teraz na dializach? Jej wyniki były przecież idealne... – Mój łamiący się głos ledwo wybrzmiewa.

Widzę cień bólu, który przemyka przez twarz Keanu. Zaciska pięści tak mocno, że aż bieleją mu knykcie. A potem powoli, z wyraźnym wysiłkiem, prostuje palce. Jak bardzo musi się pilnować, żeby nie pogruchotać mnie gołymi rękami?

– Cięża kosztuje ją więcej, niż ktokolwiek mógł przewidzieć – cedzi przez zaciśnięte zęby, a każde jego słowo jest jak sztylet wbity w moją klatkę.

– Chcę się z nią zobaczyć – mówię stanowczo, ignorując wszystko poza myślą, że muszę być przy niej.

– Zapomnij. – Ton jak stal, zimny i niepodważalny. – Masz własne życie, a ona nie potrzebuje kolejnych pieprzonych dramatów. Stres zjada ją szybciej niż wszystko inne.

– Czy z moją córką wszystko w porządku? – Czuję, jak świat zaczyna walić mi się na głowę.

– Na razie... tak – warczy. – Ale to „na razie” to tykająca bomba. I szczerze? Nie powinienem w ogóle tracić czasu na tę rozmowę.

– A z kim, do kurwy nędzy, masz rozmawiać, jeśli nie ze mną?! Kocham je! Tak samo jak ty, może bardziej!

Wykrzywia usta w czymś, co miało być uśmiechem, ale wygląda bardziej jak grymas wilka przed atakiem.

– Masz kogo kochać. Wracaj do swojej plastikowej narzeczonej.

– Nie mam żadnej pieprzonej narzeczonej – syczę, uderzając dłońmi w blat biurka. – Zerwałem wszystko. Skończyłem z tym. Przeprowadzam się tutaj. Do mojej rodziny!

– Rodziny?! – Śmieje się bez cienia radości. – Ty masz czelność mówić o rodzinie? – Wstaje, wsadza ręce do kieszeni spodni i zbliża się o krok, a jego oczy są pełne pogardy. – To chyba żyjemy w różnych uniwersach, bo jakoś nie mogę zapomnieć obrazu mojej siostry rozwalonej na podłodze, kiedy nie była w stanie wstać po tym, jak miłość jej życia oświadczyła się chodzącej reklamie chorób wenerycznych.

Słowa są jak siekiera rozłupująca mi klatkę piersiową. Celne i bezlitosne.

– A teraz jesteśmy tu – spluwa niemal – a nie w Harborbrook. Co, twój ojciec uznał, że jednak jest warta zachodu? Co, chłopcze, teraz moja siostra pasuje do układanki?

Zatyka mnie. Dosłownie. Przez chwilę nie mogę wydusić słowa.

– Nigdy! – chrypię. – Nigdy nie dopuszczę ojca do nich! Przyśięgam!

– Przysięgi gównu znaczą, skoro twoje czyny są warte mniej niż śmieci. – Kopie kosz przy biurku, dosłownie pokazując, co o mnie myśli. – Musisz to zrozumieć: Nel nie jest twoją opcją rezerwową. Nie jest twoją zabawką do rozładowywania wyrzutów sumienia. – Pochyliła się nade mną tak blisko, że niemal czuję jego wściekłość na skórze. – Ona i dziecko zasługują na coś więcej. Na kogoś lepszego. A ty tym „lepszym” nie jesteś.

Skurwiel zawsze wie, jak sprowadzić mnie do parteru. Umie zadać ból bez podnoszenia ręki. Bez jednego ciosu.

Tak, wiem, spierdoliłem. Wiem, że to moja wina. I zrobię wszystko, wszystko, żeby to naprawić.

– Nie mieszkacie w rodzinnym domu. – Próbuję zmienić taktykę, bo właśnie tam ich szukałem. – Dom stoi pusty.

– Geniusz – rzuca z sarkazmem.

– Szukałem was wszędzie – prę dalej.

– Jak widać, nie wszędzie, skoro nas nie znalazłeś. Nel nie zamierza wystawiać się na widok publiczny. Gdybyśmy wrócili do rodzinnego domu, wszyscy mogliby się o niej dowiedzieć. Dziadek i ojciec postanowili ją ukryć, gdy tylko się urodziła, a ja to podtrzymuję. – Spogląda na mnie pustym, zimnym wzrokiem. – I zabiję każdego, kto choćby pomyśli o złamaniu tej zasady.

– Zgadzam się z tobą w stu procentach.

– Mówię o twoim ojcu.

Pieprzony Charles Williamson.

– Teraz się was boi.

Keanu uśmiecha się krzywo.

– Całkiem zabawne. Zarzął kurę znoszącą złote jaja. – W jego głosie pobrzmiwa czysta pogarda.

Czy on właśnie...?

– Nie sugeruj, że byłem z Nel dla pieniędzy. – Szczęki napiją mi się tak mocno, że aż boli. – Nawet nie wiedziałem, kim jesteście naprawdę. Też mogę się czuć oszukany.

– Nigdy nie zapytałeś. A my nie afiszujemy się ze swoim pochodzeniem. – Wzrusza ramionami. – Ale fakt, nie byłeś z moją siostrą dla pieniędzy. Teraz... Teraz może być inaczej. Zwłaszcza odkąd twój zasrany ojciec dowiedział się, kim była twoja dziewczyna.

– Wkurwiasz mnie! Nigdy bym tego nie zrobił!

Keanu prostuje się jak struna, a w jego oczach płonie ogień. Mam wrażenie, że zaraz zmiecie mnie z powierzchni ziemi.

– Miałeś jej też nie skrzywdzić! – cedzi.

– Zrobiłem to, bo...

Przerywa mi machnięciem dłoni.

– Gównu mnie obchodzi, dlaczego to zrobiłeś. Jeśli miałeś problemy, mogłeś przyjść. Pogadać. Przyjść do „rodziny”, jak nas teraz szumnie nazywasz. A nie niszczyć kobietę, którą rzekomo kochałeś.

– Kocham ją! – Uderzam pięścią w klatkę piersiową. – Kocham je obie! – Wskazuję na niego palcem, czując, że zaraz eksploduję. – Nawet skazany na śmierć ma prawo do rozmowy!

Mruży oczy.

– Skazany na śmierć też czeka dwadzieścia lat na wykonanie wyroku.

Fakt. I to właśnie czekanie jest najgorszą z tortur. Bo nigdy nie wiesz, kiedy dokładnie przyjdzie ten pierdolony koniec.

– Myślisz, że było mi łatwo? Że mnie to nie bolało? – Próbuję się wytłumaczyć. Pokazać swój punkt widzenia. Chcę zdobyć jego przebaczenie równie mocno, jak błagam w myślach o przebaczenie mojej kobiety. Wiem, że bez jego aprobaty Nel nawet na mnie nie spojrzy.

Walters milczy przez chwilę, po czym odzywa się cicho, a w jego głosie gniew splata się z bólem:

– Wiesz, czym naprawdę jest ból, Elijah? Ból czujesz wtedy, gdy jesteś tysiące mil od domu, na końcu świata, a o śmierci swojej rodziny dowiadujesz się po jebanych siedmiu dniach. Siedmiu! Bo twoja misja była ważniejsza. Bo twoje umiejętności były cenniejsze niż twoje życie osobiste. Miałem być skupiony. Perfekcyjny. Ich „wyrazy współczucia” były zimne jak lód...

Widzę, jak wspomnienie tego momentu uderza w niego jak młotem.

– Wyobraź sobie euforię powrotu do bazy. Wiesz, że za kilka godzin wsiądziesz w samolot, wrócisz do domu, zobaczysz tych, których kochasz. W końcu miało być normalne życie, którego tak bardzo pragnęliśmy. Bo odsłużyłeś swoje. I możesz iść na emeryturę. A potem dostajesz meldunek. Suchy, beznamiętny komunikat o śmierci męża, naszych rodziców... i zaginięciu Corneli.

Jego bolesny szept jest gorszy i bardziej złowrogi niż to, jak krzyczał. Dosłownie czuję jego emocje i nie mogę ani oderwać od niego wzroku, ani swobodnie oddychać.

– Dopiero po czterdziestu ośmiu godzinach od wybuchu ktoś odnalazł ją na brzegu i poinformował służby. Byli pewni, że to ciało, a nie żywa osoba. Ledwo ją uratowali. W szpitalu zapisali ją jako „Jane Doe”. Bo nawet nie była w stanie powiedzieć słowa. Przez ponad tydzień nie potrafili jej znaleźć w żadnej bazie. Nie potrafili połączyć kropek. Była w szoku. Połamana, poturbowana. Była tam sama. Sama, Elijah! Po tym wszystkim, co przeżyła, i po wielokrotnych operacjach. I nikt mnie o tym nie poinformował! Nikt!

Jego słowa rozrywają mnie od środka.

– Wciąż słyszę jej krzyk, wciąż widzę jej przerażone oczy, gdy w końcu pojawiłem się w szpitalu. Każda sekunda tamtych dni była dla niej piekłem, a ja... nawet o tym nie wiedziałem. Byłem zajęty. Pieprzoną misją, która nie miała już znaczenia. – Spogląda na mnie, jakby właśnie obudziło się coś niebezpiecznego. – Więc nie pierdol mi o bólu, Elijah. Nie masz o nim pojęcia. Ból to nie tylko rany na ciele. To niewypowiedziane słowa, stracone szanse, żal, który cię zżera i nie pozwala oddychać. To świadomość, że nigdy, kurwa, nie naprawisz tego, co się stało. To ciężar, który noszę każdego dnia, wiedząc, że moja rodzina zapłaciła najwyższą cenę, a ja byłem gdzieś daleko, ślepy na wszystko, co naprawdę się liczyło.

Milknie po tym wyznaniu. Widzę, jak ponownie zakłada maskę. Jak zamyka w sobie emocje, żeby nie eksplodować.

– Miałeś nas. Rodzinę. Oparcie. Nie skorzystałeś z tego. – Jego słowa są jak baty, raz za razem smagają moją duszę.

Ma rację. Bezwzględna, bolesna rację.

Wstaję bez słowa i podchodzę do drzwi. Z ręką na klamce odwracam się, mówię cicho, ale stanowczo:

– Nie poddam się. Nigdy. Prześlij mi wszystkie informacje na temat zdrowia Nel i mojej córki. To jest teraz najważniejsze. Jeśli

tego nie zrobisz, rozbiję tutaj pieprzony obóz i zabiję każdego, kto spróbuje mnie stąd wyrzucić. Wiesz, że jestem do tego zdolny. – Słowa wypływają z moich ust z determinacją, której sam w sobie nie znałem.

Keanu patrzy na mnie przez długą chwilę. W jego oczach wściekłość walczy z niechętnym podziwem.

W końcu kiwa głową. Ledwo widocznie, ale jednak.

– I... dziękuję ci, że odblokowałeś informacje – dodaję z wdzięcznością.

Długo mi się przygląda. Jestem pewien, że on to zrobił. Obiecał Cornelii, że nic nie powie. I dotrzymał słowa.

Odpiera jak robot:

– Nie wiem, o czym mówisz.

Wychodzę i zamykam za sobą drzwi.

Czuję, jak ogromny ciężar spada mi z ramion. Mam świadomość, że czeka mnie długa i trudna droga. Ale po raz pierwszy od dawna...

Mam nadzieję.

Dla Cornelii.

Dla naszej córki.